Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 1. Poznań dnia 1. Kwietnia. 1839.

Literatura zagraniczna.

Slowanské Starožitnosti.

Sespal Pawel Josef Safarik. Oddjl degepismy. Pomocj ceského Museum. W Praze 1837. *tiskem Jana Spurného.* *(Cena* 5. *zl. str.)*

Slavus sum, nihil Slavici a me alienum esse puto.

O Szafarzyku, jego naukowych pracach, jego zasługach w literaturze słowiańskiéj, o najważniejszém jego dziele, wyszłém pod powyższą nazwą, każdy z nas, jeźli nie powziął bezpośrednio, z źrzódła samego wiadomości, dowiedział się przynajmniéj z dzienników, obcych lub swoich, a słyszał niezawodnie z powieści. Jeżeliby zaś i nie słyszał, co przy tak ograniczonem, a rzadkiem po dziś dzień spółkowaniu słowiańskich uczonych między sobą, łatwo przytrafić się może, sądzę, że przecie nie jednego, kto pragnie mieć jakąkolwiek w świecie literackim powagę, wstydby dziś było wyznać, że nie zna dzieł męża, którego imie nie tylko w słowiańszczyznie całéj, ale i w reszcie uczonego świata ze czcią jest wspominane. Właśnie ta uwaga podała mi pióro do ręki — znam zamiłowanie rodaków moich w naukach, wiem że żadne wielkie literackie dzieło, obce czy swoje, rychléj czy późniéj, nie ujdzie ich uwagi, miałyżby starożytności Szafarzyka? — ale właśnie to rychléj, czy późniéj, było mi pobudką do pisania; bo pomny na to, jakiem ogniwem my szczególniéj być mamy w ruchu i kierunku oświaty narodowéj, nie chciałbym, ażeby nasza cząstka słowiańszczyzny, to życiorodne gniazdo najpilniejszego kiedyś ludu, była ostatnią w złożeniu hołdu mężowi, który z równą miłością dla wszystkich słowiańskich pokoleń wylany, którego dzieła są wspólną wszystkich własnością. Niechże więc i w naszéj literackiéj społeczności, między szanownymi Czytelnikami Tygodnika, a przez nich i między drugimi braćmi, przyswojonem odtąd będzie imie Szafarzyka; niech żyje przynajmniéj w spomnieniu i sercu, nim godniejszą nas i narodu będziemy mogli złożyć cześć nieocenionym i dla naszéj historyi pracom jego i zasługom.

W całym obrębie powszechnéj słowiańskiéj literatury, w oddziale historycznym, Starożytności Szafarzyka po dziś dzień niezawodnie najpierwsze zajmują miejsce. Nie jest tu myślą moją czynić rozbiór, lub pisać krytykę tego nadzwyczajnego literackiego płodu; daleki jestem od przedsięwzięcia, które przewyższa naukę moję i siły: zostawiam je mężom, którzy pochlebiać sobie mogą, że na równym uczoności stopniu z autorem stoją, bo nie myślę, aby się między nimi znaleźli tacy, którzyby na wzór Niemców pisać chcieli krytyki rzeczy nierozumianych. Nie myślę też tu podawać treści dzieła, bo ta albo całkiem podać się nie da, albo, chociaż w najkrótszych zebrana wyrazach, byłaby zawsze jeszcze za obszerną, ażeby w czasopismie przyzwoite znaleźć mogła miejsce. W pierwszym i drugim punkcie ograniczam się na sprawozdaniu o dziele tém uczonego historyka czeskiego Palackiego, które wyjęte z czasopisma czeskiego Muzeum (rocznik 12., zeszyt 1., str. 117. — 120.) tutaj na końcu umieszczam. Moim zamiarem tylko jest, zwrócić uwagę rodaków na tę olbrzymią pracę badań w starożytnościach słowiańskich, nad którą prawdziwie zdumić się wypada, jak przez jednego człowieka dokonaną być mogła, a zarazem wskazać stanowisko i znaczenie jéj w powszechnéj literaturze słowiańskiéj.

Inne wielkie literackie płody mają po większéj części mniéj więcéj pewne źródła, z których wypłynęły, mają przed sobą rozliczne przygotowawcze i pomocnicze prace, które wzrost ich ułatwiły, wzniosły: pilnością, bystrością, zdrowym rozsądkiem obdarzonemu człowiekowi, pozostaje tylko zebrać leżący przed sobą materyał, strawić go, ożywić odpowiednim duchem i utworzyć z niego w formie i treści wykończoną całość. Dzieło Szafarzyka jest jego własnéj pracy utworem. Nie był ci wprawdzie i on bez źrzódeł, nie był bez prac pomocniczych; owszem użył on w dziele swojem tego wszystkiego, co tylko w starożytnéj i nowéj literaturze o tym przedmiocie powiedziano — ale jego zasługa tem właśnie zwiększona, że źrzódeł tych dopiero

sam szukać musiał: a czem są poprzedników jego pomocnicze prace w porównaniu z tem, czego sam dokonał, dowiedzieć się może każdy, kto tylko kilka kart książki jego przeczyta, lub prędkiem okiem rzucić raczy na sam tylko powierzchowny dzieła rozkład. Musiał on długą, niezmordowaną pracą poszukiwać wszystkich pozostałych świadectw i zabytków, musiał z niezrównaną troskliwością oczyszczać je z zastarzałych pleśni, z pyłu wiekami nagromadzonego; nim gotowym ujrzał materyał, z którego już śmiało mógł stawiać starożytną słowiańszczyzny świątynię.

Z pomiędzy wszystkich teraz żyjących słowiańskich uczonych nie znam żadnego, któremubym obok Szafarzyka godne dał miejsce, prócz Lelewela. Obadwaj niezmierną nauką, żelazną pilnością, nadzwyczajną bystrością i przenikliwością ducha, i jakby instynktem jakim w badaniu prawd historycznych obdarzeni, umieli w stósach dzieł od siebie przetrząsanych, trafić zawsze na ślady, które im drogę do celu coraz wyraźniéj wskazywały; umieli, tam gdzie wielka liczba innych, temiż drogami idących, lub nic nie dostrzegała, lub w odmęcie opartych na słabem świetle domysłów zagrząść musiała, znaleźć wszędzie pochodnią prawdy, która na raz cały przedmiot oświeciła. Inne europejskie narody, szczególnie Niemcy, mają tłum uczonych, którzy na tysiączne części rozdzieliwszy prace, jak rój mrówek znoszą do jednego gniazda zebrane tu i owdzie owoce. W téj nieustannéj, niezmordowanéj, ale zarazem zbyt rozdrobnionéj pracy, drobnieją i ich umysły. Niezmierny stós zbiorów tych w małych rzeczach wielkich ludzi, staje się nie przystępnym. Rzadko się znajdą uczeni, jak: Boekh, Bopp, Grimm, Savigny, Ritter, którzyby w pojedyńczych tylko naukach całą massę materyału, przyswoić sobie zdołali. Leży ona martwą, nieruszoną, bo każdy woli wrócić do źrzódła, czerpać czysty z niego nektar, niż rozrzucać ten chaotyczny stós śmieci, wydobywać z niego znikome błędnego światła iskierki i powtarzać w potrzebie toż samo, co tysiąckroć drudzy powtórzyli.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Polatuj myśli!

Polatuj myśli po niwach ojczystych,
Powietrzem przodków oddychaj;
Skąp wartkie skrzydła w falach Wisły czystych,
Swemu się słońcu uśmiechaj!

Z wawelskich wieżyc, z Bronisławy *) szczytów,
Zabrzmij pieśń chórem słowików;
Twą lutnią jasne półkola błękitów,
Struny z poranku promyków.

A po przed tobą — pól urocze wdzięki,
I w lasów wiankach gór skronie,
Tu złota niwa podmucha piosenki,
Tam poklaskuje dąb w dłonie.

To nuty twoje, — w przyrody zaklęciu
W kolo śpi dźwięków tysiące;
Drzy strumień w brzegów majowym zaklęciu,
Jak wąż się sunie po łące.

A tam daleko, — białe Karpat ściany,
Tam wieki swe nuty piszą,
Zaklęte w lasy, w wodospadów piany,
Po jarów przepaściach wiszą.

Tam tęskna dumka z ruiny zamczyska
Podzwania z rosą poranku,
Spada w jezioro — pnie się na urwiska,
Marząc o wojnie — kochanku.

I ciągle marzy — i daléj leci,
Strzepnie skrzydłami jastrzębi,
Okrąg zatoczy — gwiazdką zaświeci,
I w jaru ucicha głębi.

A ty leć myśli, jak ta dumka dzika,
W miłych się tonach zasłuchaj;
Wypędź z ruiny sowę i puszczyka,
I stary kurz poodmuchaj.

Może z téj dumki pod promieniem słońca
Jaki hymn zabrzmi rozgłośnie;
Trupowi świata zanuci o wiośnie.
I chwalę weźmie za gońca.

Gdzie człowiek drzymie — a natura kwitnie,
Tam nastrój tony — na burze,
Mów człowiekowi: »obudź się zaszczytnie!« —
»Wydaj owoce!» naturze.

O! myśli moja — po szerokim świecie
Bujaj, jak Anioł swobody,
Choć wiekiem stary — do poprawy młody,
Swiat da się kształcić, jak dziecię.

I po cóż płakać, jeźli siły starczą,
Jeszcze zaśpiewać — zatańczyć!
Co tam! — gdy zechcem, choć pioruny warczą,
Możemy szczęście wyniańczyć!

Polatuj myśli po niwach ojczystych,
Powietrzem przodków oddychaj;
Skąp wartkie skrzydła w falach Wisły czystych,
Swemu się słońcu uśmiechaj!

Dnia 22. Lutego 1839. r. *E. W.*

---

*) Góra pod Krakowem, na któréj kurhan Tadeusza Kościuszki.

Wyjątek z Witolurandy.

Sekime-(podania) Litewskiéj
poematu niedrukowanego przez *Kraszewskiego.*

. . . .

Jechali ciągle ku chmurnemu niebu
Na pólnoc, przeciw Griżułas świecących,
I chociaż prędko, jak piorun lecieli,
Już się im droga długą zdala obu.
Kraj się odmieniał. Znikły Litwy gaje,
Śnieg ziemię przykrył, białych brzóż i jodeł
Chwiały się bory pod białemi płaty
I mgliste niebo wisiało nad niemi,
A rzeki martwe u stóp ich głazami
Leżały, jakby trupy bojowiska.
Nigdzie człowieka. Czasami zwierz biały
Gdzieś się zdaleka po śniegach przesuwał,
I w czarnym boru kryjąc się zlękniony,
Znikał przed niemi w nieprzebytych gąszczach. —
W nocy miliony gwiazd świeciły z nieba,
Ale nieznane Witolowym oczom.
Innych to ludzi i innego świata
Gwiazdy tam były — inaczéj świeciły.
A na pólnocy, olbrzymy w noc każdą
W czerwonéj zorzy wiodły walki krwawe.
Czasem przez wielkie pędzili jeziora
Martwe, tętniące pod Jodzia kopytem,
To znów przez zaspy śniegów się kopali,
Które jak góry wznosząc się olbrzymie,
Tysiącem pyłów gwiaździstych błyskały.
Czasem pochmurne niebo się iskrzyło,
Jak drugie szkliste nad głowy jezioro;
Potém znów w siwe ubrało się szmaty.
A wiatr nad ziemią kręcąc śniegiem białym,
Chmurą ich zewsząd śnieżną obejmował —
I w niéj, jak gdyby ziemi nie tykali,
Jakby w obłoku powietrznym pędzili.
Lecz Jodź z rozdartém nożdrzem nigdy drogi
Nie schybił swojéj — ciągle wprost na pólnoc
Przez góry, doły i zaspy śnieżyste,
Przez morza zmarzłe bez oddechu leciał.
Ni jemu w nocy spoczynku gdzie w lesie,
Owsa, ni wody nie potrzeba było.
Jak gdyby boską ożywiany siłą,
Im dłużéj leciał, tém raźniéj i chyżéj.
I coraz spieszył, im był celu bliżéj. —
Wiele dni w drodze i nocy ubiegło,
Dni tylko mrokiem i światłem liczyli,
Bo rzadko słońce widzieli nad sobą
I rzadko Menes z za chmury twarz bladą
Pokazał, to znów w śnieżystéj zasłonie
Okrył się płaszczem i ciemniał i znikał.
A Witol pytał konia, czy daleko?
»Ledwośmy panie pół drogi ubiegli.«
I znowu pędził tak prędko, jak wprzódy,
A kraj ich dzikszy co chwila otaczał.
Czasem w ustroniu chata między drzewy
I człek brodaty osypany śniegiem
Mignął się, na twarz przed Witolem rzucił,
I oglądając z przestrachem uciekał.
Czasami głodne wilków stada wyły,
I gdzieś z pagórka oczyma świeciły;
Lecz Jodź poskoczył — i w tyle zostały.
Wiatr tylko wycie przynosił z daleka,
I potém znowu cichość nieprzerwana. —
Znowu wędrują po śnieżystéj fali.
I Witol pyta: »Daleko mój koniu?«
— »O! panie, jeszcze do króla daleko!«
I znowu jadą i pędzą śniegami,
A mroźny wiatr w koło nich się zwija.
I twarz i suknie Witola przemarzły,
I oręż jego posiwiał u boku;
A koń, jak gdyby kamieńmi, drogiemi
W drobnych pylinach zamarzłych połyskał.
»Zimno ci koniu?« pytał Witol Jodzia.
»O nie! bo pędzę do swéj ulubionéj,«
Ani mi nogi od biegu martwieją,
Ani mi siły od znoju ustają.
Bo czuję Aszwę kochankę przed sobą.
Ale ty panie, musisz być znużony;
Tobie i droga długą się wydaje,
Tobie i mroźny wiatr musi dokuczać,
Tobie już nudno i ciężko być musi.
Ty do nikogo i po nic nie jedziesz.« —
»O, mnie nie nudno i droga nie długa.
Lecz przyspiesz, bo ci odpocząć już trzeba.« —
»A czemuż nie chcesz do swego pałacu?« —
»Bo wolę patrzeć na ten świat pólnocny,
I chcę zachować wszystkie jego dziwy,
Ażeby o nim w starości pamiętać.«
Biegli i biegli. Jodź począł ustawać.
Blizko już koniu — »O już blizko panie!«
Za mgłą na górze wysokiéj nad rzeką,
Wysoki biały gmach się okazywał,
U spodu góry wielki las dębowy,
Zielonym wieńcem miasto opasywał.
Świeciły dachy i wieże wysokie,
Na bokach góry dymy się zwijały,
I w czarnych kłębach nad wierzchołkiem lasu,
Jak ciemna szata z wiatrem kołysały.
Jodź zarżał, patrząc na wysoką górę,
Podwoił kroku po krętéj drożynie,
Pomiędzy lasem, ku wierzchu się drapał;
Nareszcie stanął u zamkowéj bramy.
Tu Witol podniósł zwieszony u pasa
Róg — i zatrąbił . . . .

Straszny dwór.

Gawęda dworzan w baszcie nad broną.)*

„Héj! miły Boże, jakoś tęskno i nudno na sercu człowieka, by kamień położył — zadumka śnieżna, że świata nieobaczysz, mróz piekielny — rozpalno kmotrze spory ogień na kominie, niech jodła da nam płomień ciepły, przy nim zgrzejem Częstochowskiego piwa

*) Nad bramą.

z grzankami, a wtedy rado pogawędzić." To wyrzekłszy pan Maciéj siwy — tak zwany w zamku — stary dworzanin, z pod opończy dobył dwa dzbany potężne sławnego piwa, i począł wlewać w dwa wielkie polewane krakowskie garki. — Kmotr jego, strażnik brony, tymczasem nanieciwszy ogień, zaczął krajać glony chleba Promnickiego, i solić na obiedwie strony. Kiedy w garkach zawrzało piwo, każdy z nich sobie wlewając w szklenicę, popijał rado. W ówczas pan Maciéj, głaszcząc długie wąsy, co roztajały w cieple od zamrozu, począł wesoło młode przypominać czasy, a strażnik z wielką uwagą nadstawił ciekawe ucho.

„Owoż miły kmotrze mój, miałem wam prawić o Strasznym dworze, posłuchajta przeto: — Będzie temu z lat czterdzieści, służyłem za pacholę na dworze chorążego z Radziwia. Panisko stare i słabe, upadło naprzód na nogi, a niedługo i zmarło, płacząc zawsze swéj miléj małżonki, co przed dwoma laty przeniosła się do wieczności. Było nie mało płaczu, bo każdy żałował dobrego paniska. Zostawił dwóch synów, Zbigniewa i Zygmunta, już dojrzałe wyrostki, bo jeden miał 29, drugi 30 roków. — Po żalu, trzeba myśleć i o sobie — zaczęli więc razem gospodarzyć, i przeglądać papiery świętéj pamięci swego rodzica. Znaleźli nie mało pieniędzy rozpożyczonych różnym sąsiadom; więc jakoś w pół roku począł się wybierać panicz Zygmunt w daleką drogę aż na Mazury, do jakiegoś Stolnika, u którego najwięcéj mieli grosiwa do odebrania. — Kiedy już dzień naznaczono wyjazdu, panicz mię zawołał i rzekł: „No, mój Maćku! pojedziecie z nami — jedziem daleko aż za Wisłę." — „Dobrze, paniczu!" odrzekłem — i w godzinę siedziałem na koźle — a paniczowie ściskali się serdecznie.

„Pamiętaj wracać prędko, miły bracie mój!" zawołał pan Zbigniew, mało niepłacząc, jak baba, a pan Zygmunt, ze łzami w oczach, wskoczył w brykę i gnać kazał.

Tydzień cały jechalim, aż wjechalim na Mazury. Przeprawiwszy się ze strachem przez Wisłę, zobaczylim przecie dworzec pana Stolnika. Straszny to był dworzec!" — i Maciéj dopił reszty z garka, a strażnik z bojaźnią wlepił oczy w starego dworzanina, spodziewając się, że będzie prawił o czarownicach, widmach i strachach.

„Tak, miły kmotrze! owo był to straszny dworzec, bo moje panisko nie zobaczyło długu swego rodzica. Zajeżdżamy na podwórzec, aż tu jak wyskoczy cała psiarnia ogarów, kundlów, brytanów i chartów, mało nas niepościągali z bryki: zajeżdżamy przed ganek, tu panicza powitał poważny gospodarz. Nie zapomnę téj postawy pańskiéj i miłego oblicza. Powitał rado panicza — wprowadził w dużą gościnną komnatę; ja tuż za moim panem szedłem bojaźliwie. Że to był blizki czas wieczerzy — nie długo roztwierają się podwoje alkowy, i wychodzi pani Stolnikowa, wiodąc za sobą dwie urodne córy, a za niemi gładką służebnicę. O! kiedy na nią spojrzał Maciéj, co tu siedzi i to wam gada, zdechł na poły, i serca nieuczuł, jakby mu go czarownica wyjęła. — Aleć i z moim panem nie było lepiéj: zaczerwienił się po uszy, a kiedy pani domu poczęła pytać o brata, moje panisko, co zawsze było rezolutne: ani be, ani me, wszystko zerk na panny z boku. Po wieczerzy — długo siedzieli — a gdy chwila spoczynku nadeszła, pan Zygmunt stracił głowę — i nie długo trzebaby mu było czarną kokosz przyłożyć.*) Nieumiał zdjąć szaty, jeno siedział zadumany. Żal mi było paniska, a więc jąłem pytać, czy nie chory. — „Dobrze mówisz, Macieju — widzę, żem chory;" i to wyrzekłszy, upadł na łoże. Całéj nocy oka niezmrużył, boć i ja niespałem — on ciągle widział przed oczyma młodszą stolnikownę, pannę Jadwigę, — a ja miłą służebnicę. Dzionek duży zajrzał w okna nasze, a panicz wzdychał i wzdychał. — Niedługo, nadchodzi pan stolnik i zdziwił się niepomału, że młody ziemianin tak długo bawi się łożem. — Po śniadaniu radził łowy; — wyjechalim; ale panicz, choć strzelał do zwierzyny pod nosem biegnącéj, żadnéj nie trafił, każdy więc go miał za baj bardzo. Wstydno mi było, że krwie tak zacnéj młodzian, zaczarowany oczami gładkiéj dziewki, na pośmiech wychodzi — rzekłem więc śmiało: „Panie mój! czy wam tuman w oczach stoi? czyście miłosnego zjedli chleba?**) Do nikogo słowa nie przemówita, a choć zwierza w kniei, by kawek na słotę — przecież ani jednego nie mozeta zwalić. Co się z wami stało, miłyć mój panie?" — „Źle się dzieje," odrzekł na to, „ale w Bogu nadzieja? trzeba odjechać! — każ, Macieju, zaprządz co rychléj, zaraz wrócimy doma."

Więc co rychle skoczyłem do stajnie, wróciwszy z łowów — i zaraz po obiedzie dałem znać, że wszystko gotowo. — Panicz chciał się żegnać, aż tu jak wyskoczy z furyą pan stolnik na ganek — jak krzyknie na swoją czeladź — jak mrygnął okiem, — zdjęto nam wszystkie cztery koła z bryczki, i woźnica nasz ze wstydem na osiach jeno zaciągnąć musiał brykę do wozowni. — Wtedy pan Zygmunt prosił na osobność pana stolnika, i tam mu wyznał, dla czego dłużéj bawić nie może.

---

*) Czarna kokosz, lekarstwo dawne na utratę zmysłów.

**) Chleb świeży, dziewczęta noszą pod pachą przez 3 dni i 3 noce, i dają ulubionemu, który się wnet rozkocha.

„Jako!“ krzyknął pan stolnik — a ja pode drzwiami słuchałem: „Waść się ważysz, tam nieść oczy! nie ujdzie Waci na sucho.“ Jużem zadrzał, słysząc grzmiący głos starego, ale nie długo wyrzekł łagodniéj: „W moim domu nie za wysokie są progi na Waści nogi! wszystko to dobrze pójdzie, tylko mi Wać strzelaj lepiéj, niż dziś rano.“ Otwarły się drzwi, jam na stronę uskoczył i zobaczyłem panicza uradowanego, jak ściskał kolana pana stolnika. Nie długo weszła i pani stolnikowa, a za nią dwie córy: mój panicz zadrzał, aleć nabrawszy otuchy, patrząc w oczy panny Jadwigi, jak żołw na swoje jaja, począł prawić gładko i rozumnie, aż wszystkich zadziwił, co się zrobiło z niemowy wczorajszego. W godzinę sędziwy rodzic panny wezwał go do siebie, i aby zmył hańbę z łowów rannych, kazał mu z jańczarki strzelać do celu. W ówczas zawołał panicz na mnie: „Macieju! weź tego bitego talara w palce.“ Jam go porwał, i poskoczył aż do brony, a trzymając w dwóch palcach lewéj ręki, wyniesionéj nad głową — krzyknąłem z gardła: „Strzelaj paniczu!“ Pan stolnik począł temu oponować razem z małżonką i pannami, a miła ich służebnica zbladła. Ale gdym ja ochotnie wołał, a strzelcy uśmiechali się szydersko, mój panicz wymierzył — paf! i talar wystrzelił mi z palców. Służebnica krzyknęła, a jam się radował, bom zobaczył, żem jéj nie obcy.

Odtąd dzień po dniu mój panicz bliżéj panny Jadwigi, ja bliżéj Rozalii mojéj. Tak mija miesiąc jeden — mija drugi — aż wreszcie przybywa poseł od brata z domu, oddał list paniczowi, a mnie wziął na stronę. „Na wszystkich świętych!“ zawołał Jaśko, ów poseł: „co się tu dzieje? — pan nasz, co doma został, miał sny okropne — czekał więc choć listu; a tu ani brata, ani pisma. Przyjechała tam niedługo stara skarbnikowa, i napędziła mu więcéj piotra. Czy wierzyta, opowiedziała, że w tym strasznym dworze czarami zatrzymano pana Zygmunta, że codzień w nocy straszne widmy z ognistemi ogony latają nad dworem — że pan domu i pani z dziećmi są to same heretyki, które sprawę z djabłem trzymają. Na takie wieści wszyscy niemal poczęli w żalu płakać, mając was wszystkich za zgubionych, bo skarbnikowa zaprzysięgała prawdę swoim słowom. To, gdy usłyszał pan Zbigniew, zawołał mię k' sobie i rzekł: „Jaśko, weź mego stępaka i z tym pismem jedź co żywo z Bogiem do brata mego, ażali jeszcze żyw jest.“ A więc wsiadłem na konia, wziąłem szkaplerz z relikwią i trochę wody święconéj od złego, i pognałem: owoż piątego dnia staję w tym dworze strasznym.“

„Tak, tak, miły bracie, odrzekłem mu na to, straszne tu się dzieją rzeczy, i ani mój panicz, ani ja nie odjedziemy doma. Nie długo z pismem wrócicie.“ — Jakiem myślał, tak się stało — mój panicz odpisał bratu — a z listem Jasiek na drugi dzień odjechał.

Wielki był rozruch na dworze młodych braci w tydzień po odebranym liście. Jasiek wróciwszy, dziwy nagadał, że straszne dzieją się we dworze stolnika rzeczy. Zbigniew ponury siadał w kolasę milczący. Jasiek ze strachem poganiał konie.

Wesoła była uczta u pana stolnika. — Zygmunt po drugim puharze wzniosłym głosem wznawiał trzeci vivat! gdy drzwi się roztwarły, i blady Zbigniew ukazał się w komnacie. — „Bracie mój miły!“ wykrzyknął Zygmunt, stawiając puhar próżny, i rzucił mu się w objęcia. Stolnik zaprosił do stołu strudzonego podróżą, sadzając go na przeciw córek swoich, a obok małżonki. Zbigniew raz rzucił okiem na Hannę, starszą stolnikównę, i wnet się zaczerwienił, by Toruńska cegła — oczy zaiskrzyły, by u wilka w nocy, a serce biło na odpust. Panna też raka upiekła — owo trafił bies na pogana, bo trafił swój na swego.

Kiedy po uczcie obaj bracia sami się zobaczyli w oddzielnéj izbie, pan Zbigniew, co nigdy niemiał się żenić, i ubolewał nad oślepieniem brata, już teraz tak żwawie niepowstawał, i w końcu wyrzekł: „Miły bracie! widać, że takie zrządzenie boskie było — jać przeciwko temu nic niemam.“ Mój panicz uwiesił mu się u szyje, całował, szepnąwszy z uśmiechem do ucha: „A waści gładka Hanna?“ Ale pan Zbigniew ścisnął go za rękę, prosząc, by jéj nie wspominał.

W parę dni potym, wysłano mię z dworu pod wieczor uzbierać malin w ogrodzie. — Biegnę, aż pod lipą słyszę cichy rozhowor, — podkradam się i widzę, jak klęczy pan Zbigniew przed gładką Hanną, koperczaki smali i wzdychając, wypowiada miłość. W skok wracam na powrót, sprowadzam mego panicza z panną Jadwigą i panią stolnikową. Wysłuchali wszystko — i odeszli niepostrzeżeni. Uwiadomiony pan stolnik — po wieczerzy, gdy obcy odeszli — kazawszy podać puhar herbowny, nalał węgierskiego i rzekł, pijąc w ręce pana Zbigniewa: „Oby lipa — świadek miłośnego świegotania dwojga kochanków, gęściejszem corok liściem okrywała konary swoje.“ — Hanna ukryła zawstydzona lica na łonie siostry, a pan Zbigniew, to blady, to czerwienią farbowany, upadł wtedy na kolana.

Zapłakał z radości stary stolnik, ucałował go w czoło — żądając, aby dawnym zwyczajem przez swatów oświadczyli swoje chęci. Więc tegoż wieczoru, posłano Jaśka, po stryja rodzonego paniczów, pana Cześnika.

W pięć dni wyjechali o mile paniczowie na przeciw stryja — tam wsiedli w jego kolasę, i razem zajechali

do dworu. Stary czesnik wystrojony kazał niewyprzęgać koni woźnicy wedle zwyczaju dawnego. Pięć dzielnych koni zadzwoniło chomontami krakowskiemi przed gankiem stolnika, który już czekał na przyjęcie miłego gościa. Przy śniadaniu, kiedy chleb podano, małżonka gospodarza spód mączny chleba nożem do siebie skrobała, dla dania znaku, że tu zalotnicy swata, niedostaną grochowego wieńca. Jakoż – w godzinę, woźnicy cześnika wyprzężono konie — a radość w całym dworze była — wszyscy wiedzieli, że dwa wesela razem się odbędą."

„Naléj no kmotrze jeszcze w garnek częstochowskiego piwa!" rzekł do strażnika Maciéj, „bo jeszcze nie tu koniec, a trzeba odwilżyć gardło." Kiedy dobrze skropił usta —:

„Owoż — jako się skończyło. Gdy było po zapowiedziach — i ja skłoniłem czołem moim paniczom, prosząc, aby wyjednali rękę Rozalii. Uśmiawszy się ze mnie, dali i na nasze zapowiedzie — aż tu nie długo, i podżyły Jaśko, zaczął im ściskać kolana, żeby mógł się ożenić z tłustą Magdaleną, co posługiwała kucharzowi, bo się w niéj serdecznie rozmiłował. — Kiedy się o tem dowiedział pan stolnik, uradowany serdecznie, zawołał: „Moi mili braciszkowie! nie zwoźcie mi tu więcéj ani swoich pacholików, ani czeladzi, bo wybierzecie, jak ptaki na lep, wszystkie z dworu dziewczęta." — „To nie nasza wina, nasz ojcze," odrzekł pan Zbigniew, „tu każdy z nas uwiązł, jak ptak na lepie!" — „Niedarmoć, u nas doma" dodał pan Zygmunt „dwór stolnika nazwano — strasznym dworem!"

„We dwa miesiące wrócilim doma, każdy wioząc sobie panię. Żylim długo szczęśliwie, dopóki Bóg raczył je trzymać przy zdrowiu i życiu. Jeden Jasiek miał niemało kłopotu z swoją tłustą Magdaleną — i nieraz z podbitym okiem mawiał, iż że strasznego dworu pana stolnika on tylko jeden djabła za rogi wyciągnął. *K. Wł. Wójcicki.*

Wspomnienie o Janie Poplińskim.

Prowincya nasza poniosła w tych dniach dotkliwą stratę w zgonie Jana Poplińskiego, professora języka i literatury polskiéj przy gimnazyum leszczyńskiem, zmarłego 17. Marca r. b. w 43 roku życia swego. Urodzony dnia 14. Czerwca 1796 we wsi Topoli pod Ostrowem, odbył nauki szkolne w gimnazyach kaliskiem i poznańskiem; poczem udał się na uniwersytet do Wrocławia, a w końcu do Berlina, gdzie ukończywszy kurs filologiczny pod Passowem, Schneiderem, Wachlerem, Stefensem, Raumerem, Boekhiem, Buttmanem i t. d. sposobił się tymczasowo praktycznie na nauczyciela w gimnazyum poznańskiem, wykładając w średnich klassach nauki filologiczne. Ztąd powołany został do objęcia katedry języka i literatury ojczystéj w nowo utworzonem gimnazyum leszczyńskiem. Posada nauczyciela, jakkolwiek nie jednemu podrzędną zdawać się może, jest w naszéj prowincyi i w naszem położeniu, dla braku usposobionych do tego powołania krajowców, nader ważnem stanowiskiem, od niego bowiem zawisła po części pomyślna przyszłość lub niedola całych generacyi. Tu a nie gdzie indziéj jest zaród odrodzenia się moralnego. Cóż dopiero mówić o powołaniu professora mowy i literatury ojczystéj? Zrozumiał ś. p. Jan Popliński całą ważność swoich obowiązków i rzucił się z świętym zapałem i rączością sił młodzieńczych do tak użytecznéj krajowéj posługi. Pozyskawszy swą wrodzoną dobrocią i łagodnością charakteru serca młodzieży, umiał w nie przelać ten żywy zapał do nauk, to zamiłowanie rzeczy krajowych, którem sam oddychał. Jakoż niepłonne były jego usiłowania: od téj daty poczyna się w naszéj prowincyi pewien ruch naukowego życia, coraz silniéj się wzmagający, pomyślniejszą rokujący przyszłość.

Ale nie przestał ś. p. Jan Popliński na téj zasłudze. Przekonany, że głos nauczyciela nie powinien zamrzeć na ustach, gdy śmierć przetnie pasmo życia; że usiłowania jego i nabyte światło i po za obręb gmachów szkolnych sięgać powinny: położył równie wielkie zasługi i w piśmiennictwie, tak ścisły związek mającem z powołaniem nauczycielskiem. Czując sam najlepiéj niedostatek dzieł do kształcenia młodzieży służących w przedmiocie tak ważnym, jakim jest literatura krajowa, miał sobie za święty obowiązek zaradzić téj potrzebie; a będąc obdarzony niepospolitą trafnością w sądzeniu, jako też dziwną łatwością w pracy, choć tak licznemi obarczony naukowemi zatrudnieniami, wypracował i wydał trzy dzieła, których rozległe upowszechnienie, za obrębem nawet naszéj prowincyi, najlepszym jest ich użyteczności dowodem. Temi książkami są: *a*) Grammatyka języka polskiego dla Niemców, po trzykroć w Lesznie z druku wyszła; *b*) Nowe wypisy polskie, i *c*) Nowych wypisów polskich część druga, których rozbiór w Tyg. Nr. 28. i 29. Wszystkie te trzy dziełka tak są szczęśliwie zastósowane do potrzeby, tyle okazują zdrowéj krytyki i głębokiéj znajomości rzeczy w wyborze i układzie, iż z pewnością twierdzić możemy, że się nikt w téj mierze młodzieży, co mówię, całéj publiczności, lepiéj od niego nie przysłużył.

Lecz nie tu koniec jego niezmordowanéj działalności, jego poświęcenia się bez granic dla dobra

ogółu, bez żadnych osobistych widoków. Jeszcze w Poznaniu będąc w roku 1820 należał do współredakcyi pisma peryodycznego „Mrowki“, które lubo rychło upadło, było przecie najpierwszym promykiem, budzącym naukowe życie w prowincyi naszéj. Głównem atoli dziełem, zapewniającem mu wdzięczność o wzrost krajowéj oświaty troskliwych współziomków, jest utworzenie i rozwinięcie czasopisma „Przyjaciel Ludu.“ Piękny ten, najlepiéj szlachetną jego duszę cechujący pomysł powołania do błogich skutków oświaty całą massę narodu, pobłogosławiły łaskawe nieba; jakoż żaden z wydawców pism polskich nie był równie szczęśliwym w pozyskaniu tak licznych czytelników, w obudzeniu tak powszechnego interesu, jak śp. prawdziwy redaktor Przyjaciela Ludu, Jan Popliński. Pierwsze atoli początki ugruntowania tego pisma, jak z natury rzeczy wypada, były bardzo trudne, i potrzeba było takiéj wytrwałości, takiego poświęcenia, jakie zawsze piękne serce ś. p. Jana Poplińskiego ożywiały, żeby pokonać tysiączne trudności, żeby wywołać ten czynny udział, tak koniecznie do rozwinięcia każdego zbawiennego pomysłu potrzebny. Jakoż byliśmy świadkami, z jakim zapałem poświęcał się wzniesieniu tego pisma: ślęczył, szperał, poszukiwał wszędzie, zachęcał i niejako zmuszał do pisania zdolniejszą młodzież, która powiększéj części pod jego przewodnictwem ukształcona, z synowskiem zaufaniem do niego się garnęła. On także był współpracownikiem pisma naszego, i publiczność czytała w Tygodniku literackim nie jeden jego zajmujący artykuł w oddziale literatury zagranicznéj i krytyki. Niespracowany, dokonał prócz tego kilka innych użytecznych prac literackich, a niezliczone mnóstwo artykułów do Przyjaciela ludu w rękopiśmie przygotowanych świadczy najdowodniéj, z jaką energią służył sprawie i oświacie krajowéj. Skromny, na małem przestający, nie ubiegał się nigdy ani za marną sławą, ani za zyskiem; ale we wszystkich swoich przedsięwzięciach i sprawach miał jedynie na względzie dobro ogólne; ztąd pochodzi, że wielu współziomków naszych, nawet ci, co go z blizka znali, nie wiedzieli o jego znamienitéj działalności, o jego prawdziwych zasługach i nauce. Do tych przymiotów, nieocenionych dla kraju, znamienujących całe życie publiczne zmarłego, łączył Jan Popliński wszelkie cnoty domowe, któremi sobie każdego zobowiązać umiał. Cnotliwy w całem znaczeniu tego wyrazu, uprzejmy, przyjacielski, uczynny, zostawił po sobie żal nieutulony nawet w sercach tych, którzy piękną jego duszę z téj tylko znali strony; dla tego też łzy wszystkich towarzyszyły mu na miejsce wiecznego spoczynku, a licznie zebrany orszak żałobny, odprowadzający zwłoki jego do grobu, zdawał się tworzyć jednę rodzinę, pogrążoną w głębokim smutku po zgonie jednego z najlepszych swoich członków. Cześć i pokój jego popiołom!

Krytyka.

Kilka słów o Anhellim Słowackiego.

Odrodzenie się Spółeczeńskiego życia »nie ze snu, jako wprzódy było, ale z Pracy wieków,« jak je ogromny Duch autora Irydyjona pojmuje, oddźwiękło w sercach wszystkich Wieszczów naszych i działalności ich nowy zupełnie nadało kierunek. Ale jak zawsze cały Duch jakiego Wieku najtreściwiéj zbiera się w jednym Wielkim mężu, a reszta podrzędnych mu duchow około niego się kupi i barwą swych dzieł i pomysłów jakoby girlandę około zarysowanego przezeń obrazu maluje; tak i dzisiaj około Arcywieszcza naszego zbierają się przedniejsze Piewce Narodowe i Myśl tak jenialnie przezeń rzuconą barwią i cieniują. Takiém odcieniem owéj Myśli-Matki całéj przyszłości jest Anhelli.

Są chwile w Dziejach Ludzkości, gdzie Duch całego, wielkiego zakresu zużyje się i obumrze. W takim stanie jest dziś skład Społeczności z Chrześcijaństwa wynikłéj; tak go też autor pojmuje i w poemacie swoim maluje.

Wiek ten, który dziś pod ciężarem starości ku ziemi się już chyli, rozwinął się w pewnym systemie umysłowych pojęć i dzieł im odpowiednich. Cały ten system, jako jedna niepodzielna Całość w sobie wzięty, stanowi wyraz Ducha owego wieku i jest jego Rozumem. Reprezentantem tego Rozumu jest w poemacie Szaman; w nim też schodzą się wszystkie jego strony; — Rozum ów, jako Duchowy wyraz całego, wielkiego zakresu Historyi, był Słowem Bożém, wcielonėm w ów wiek, by się w pewnéj mierze rozwijało, — w Szamanie też »wiele jest Boga«; — Rozum ów rosł tradycyą dawnych pojęć i Myśli w dziełach dawnych czasów zawartéj, a był sprawcą następnych — podobnie Szaman »mądrości swéj od przodków naszych nabył« a wygnańców starych Narodów, jakoby własne, poniewierane ciało pod Opiekę bierze; — Rozum ów przy dzisiejszém obumarciu całego Spółeczeństwa już tylko zlodowaciałemu ciału panuje, — również Szaman w poemacie, jako król Ludu »w śnieżnych siołach zamieszkałego, jako pan »krainy grobowcowéj« występuje. Pochód jego poprzedzają stada kruków — złowrogi znak blizkiego zgonu dla Wieku, którego Myśl reprezentuje. Charakter zgonu tego oznaczony. Jako bowiem Wiek ten cały wyrosł ze świętego uczucia, z melancholijnego rozpamiętywania nad rzeczami duszy, ciemnego, grobowego Życia po lochach podziemnych, tak i pod koniec lat swoich wrócić musi do podobnegoż Życia, by się zaokrąglić w sobie, od dalszego Spochodu półeczeństwa odstrychnąć, nareszcie w ciemnicach trosk i boleści zużyć się i strawić do reszty.

Boleść ta nie poczyna się z zewnątrz, nie jest skutkiem przypadkowego zdarzenia, ale z usposobienia samego Wieku wynika; — w niéj też, jako we własném dziecku, musi być Miłość Szamana. Ztąd owo przywiązanie jego do Anhellego, będącego jakby uosobieniem łez Narodu nad własnym zgonem wylanych, jakby ostatniém tchnieniem i jękiem umierającego pokolenia.

Dzieje Anhellego obrazem takiego znaczenia:

»Życie jego zaczęło się od przerażenia. Ojciec jego umarł śmiercią synów Ojczyzny, zamordowany: a matka jego umarła z boleści po nim, a on sam był pogrobowcem.«

»Pierwsza lilija na grobie ojca jego jest jego rówienniczką, a pierwsza róża na grobie matki jego była mu siostrą młodszą.«

»Oto go w kołysce owionęła woń krwi Ojcowskiéj i wyrosł z twarzą smutną i przelękniona.«

»A gdy usiadał dzieckiem na kolanach u ludzi obcych, to gadał wyrazami przerażenia z ciemnością, a rozumiał, co szeptał liść jesienny szumiący z wichrami.«

Duszę z przestrachu poczętą, pojoną ciemnością dumań, rozjaśnia rozsądek (Szaman), by ją jeszcze bardziéj wykarmił boleścią, by jéj dał poznać cały smutny stan grobowcowéj krainy, t. j. całą treść z użytéj Społeczności. — »Grobowce« też »powiedziały im swoje tajemnice, a temi była śmierć wszystkiego, co było tętném Życia dotychczasowéj Społeczności, — wymieniły im »długi szereg imion już zapomnianych« — i wynikające ztąd ostateczne całych rass zepsucie. »A nie powiem ci, co się stało z nazwiskiem rodu twojego, bo nie mógłbyś zasnąć, choć jesteś umarłym i poszedłbyś jęcząc po świecie.«

Taki jest stan dzisiejszego świata i tego, co w nim dotąd stało na czele.

By powstało nowe Życie, zginąć musi wszystko, co dotychczas stało mocą wcielonego Słowa. Słowo to, ów duch dogorywających wieków zużyć się musi do szczętu i w ostateczném rozprzężeniu żywiołów Społeczeńskiego Życia, umrzeć szaleństwem własnego ciała, bo na wezwanie Ducha Historyi »zbliża się dzień sybirski i słońce zatracenia.« Ta jest Myśl zgonu Szamana z ręki wygnańca omdlałego świata.

Nikający Rozum zgrzybiałych pokoleń (umierający Szaman) zostawia narodowi, w którego Czucie się wcielił (Anhellemu) »większy ciężar, niż może unieść« jakiekolwiek plemie. Pokazawszy mu wszystkie nieszczęścia téj ziemi, zostawia go samego w ciemności wielkiéj »z brzemieniem Myśli i tęsknot na sercu.«

Aby jako ciało przylgnął do nowego ducha, Naród ten po wyniszczeniu w sobie wszystkiego, co jest mdłém i przeszłém, musi wrócić do siły świeżo-powstającego plemienia, i tą świeżością zbiegłe czasy pierwszego pojawienia się swego na Ziemi przypomnieć. Ale ta siła, w miarę usposobienia wieku, w którym się rodzi, nie może już być szczero-fizyczną, ale owszem z głębi wiedzącego o sobie ducha wyniknąć musi. Dla tego w nowém pokoleniu naszém, przy powtórnym zawiązku Społecznego bytu, zajść muszą stosunki owym pierwszym wbrew przeciwne. Ci sami przeto Aniołowie, »którzy przed wiekiem przyszli do chaty kołodzieja i usiedli za stołem w cieniu lip pachnących nadzieję zwiastując, zjawiają się teraz Anhellemu, by mu koniec i nieszczęście zwiastować.«

Stary Naród zbutwiały musi umrzeć, bo jego dusza znękana ogromem nieszczęść, bo duch jego, tłoczony boleścią, już zwątlał na siłach. Wszakże zgon jego nie może być samotném zjawiskiem naświecie. Zdrętwiałość Społeczeńskiego życia sięga daleko po za granice tego plemienia i runięciu jego uniwersalnym upadkiem swoim towarzyszyć musi. By było Odkupienie, miara dopełnić się powinna, a boleść Matki naszéj musi jękiem wszystkich Narodów oddźwięknąć. Poeta dziwnie-pięknie tajemnicę téj konieczności malnje: Anhelli kochał jeszcze dzieckiem Niewiastę-Anioła — Świętość Smutku nad przeczuwanym zgonem Ojczyzny; — ale powołanie jego było rozleglejsze i zakochaniem się w tym jednym Aniele określić się nie mogło. Dla tego »był przy niéj, jak ptak swojski, co się boi, i nie wziął nawet pocałowania od jéj ust koralowych, choć był blizko, jak gołąb siedzący na ramieniu dziewczyny.« Ale kiedy na cmentarz krainy lodów i śniegów, jakby na gruzy zwalonego świata szedł po »tajemnicę grobów,« wtenczas w Aniele-Stróżu tego miejsca spoczynku znalazł obraz swojéj dziewicy, a ten Anioł zwał się »Eloe, i urodził się ze łzy Chrystusowéj na Golgocie — z téj łzy, która wylana była nad Narodami!«

W tak przestronnym rozmiarze pojmuje autor upadek starego Narodu. Zgon jego jest figurą zużycia się całego Społeczeńskiego świata, który wraz z nim zaginąć musi. Ale jego Męka ma być zarazem Odkupieniem.

Myśl tego Odkupienia jest głębokiém pojęciem istoty Smutku i jéj siły oczyszczającéj. W Smutku Duch wchodzi w Siebie, a odczepiając się tém samém od wszelakich przypadkowości zmysłowego świata, od wszelakiego źródła zepsucia i zagłady Ducha, jędrnieje we własnéj swéj sile i do dzieł wielkich się sposobi. Dla tego też Anhelli w swym smutku jest »czysty jak lilija biorąca z wody liście i kolory niewinne.« Od duszy jego, słuchającéj jedynie głosu niewinności (dzieciątka! str. 30.) »nie ma nic jaśniejszego na ziemi, oprócz słońca, i nic jaśniéj migającego, oprócz gwiazd, które są różowe i sine.« Woń od niéj płynąca jest »jakby woń tysiąca kwiatów i zapach konwalii,« a Świętość jéj Smutku jest »Aniołem, który go opętał.« (str. 32, późn. 66.)

To Uświęcenie Ducha wsamotności i milczeniu objawia się tak w pojedyńczych ludziach (Ellenai), jako też w Odrodzeniu się i Zbawieniu całych pokoleń. Dzieje z odrodzenia tego wynikające będą pasmem czynów, których wątek już się w dziełach przodków naszych tajemnie przewijał. Prawdziwa Odroda będzie przeto rozjaśnieniem tego, co w pracy chylącego się już wieku było zarodem przyszłéj osnowy dziejów świata. Dla tego owoce owéj pracy przodków zaginąć nie mogą — nie powinny — i z religijną skrupulatnością strzeżone być muszą. Smutek nad zgonem ojczyzny i wynikające ztąd głębokie dumanie nad tém, co się straciło, jest właśnie stróżem, aby owoce drzew ręką ojców naszych sadzone, nie stały się łupem materjalnéj siły (zaborem celnika), przedmiotem bezpłodnego zużycia, ale owszem »jasności gwiazd« kiedyś zabłysnęły. Ale »znaczenie tych »gwiazd,« mające być dziełem Odrodzonéj Społeczności ludzkiéj, musi pozostać »tajemnicą« dla ludzi, w których już niema »żadnéj pamięci, jedno pamięć o rzeczach, które im się zdarzyły za młodu,« a którzy »o dniu wczorajszym nie wiedzą i nie myślą o jutrze« — tajemnicą dla pokolenia, które ma zaginąć, by nowemu miejsca ustąpić (str. 36. 37. 38.)

Ale jest Duch, któremu otwarte księgi owych tajemnic zgrzybiałego świata. Jest nim Duch Historyi, duch boży w dziełach ludzkich, którego mocą silny każdy wzniosły umysł. Owa tajemnica jest jego własném przesiłaniem się w swéj odrębności, by się mocą tego przesilenia w Pełność Społeczeńskiego życia przerzucił i tam gwiazdą owoców swego działania zaświecił. Duch ten w nowém Stawaniu się swojém naprzód bezpośrednio się Pojmuje, — poczuwa się tylko, rozjaśnia i barwi — i jest poezyą; — a taka Poezya jest cichą i smętną, jako noc tajemnic, z któréj pierwszym świtem wypływa. Jéj przedmiotem: Zgon Wieku, — jéj barwą Melancholia. — Ale bo też »dwie są melancholje: jedna jest z mocy, druga ze słabości; pierwsza jest skrzydłami ludzi wysokich, druga kamieniem ludzi topiących się.« (str. 18.) Mocą pierwszéj Wieszcz wprowadza nas w tajniki duszy Narodu konającego: drugą, ale na to tylko, aby nam dał wyjrzeć w świetniejszą oddal, w rozleglejszą, radośniejszą przyszłość. Kiedy Anioł zbiegłego Wieku »z gwiazdą melancholiczną na rozpuszczonych włosach« siedzi nad ciałem zmarłego, Poezya »z płomienistéj zorzy« zbrojnym rycerzem występuje, a lody zmrożonego świata pryskają przed nią i »śnieg wali się przed piersią konia, jak fala zapieniona przed łodzią.« — Głos Rycerza grzmi wieścią Zmartwychpowstania. . . .

(Dokończenie nastąpi.)

Omyłki w Nrze. 52.: pag. 412. szurm czyt. szturm.
pag. 416. dostawały czyt. nie dostawały.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 2 Talary półrocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*